

Randyści kontra rothbardyści

Autor: **Robert P. Murphy**

Źródło: mises.ca

Tłumaczenie: **Karolina Olszańska**

Łatwo, a często nawet zabawnie, jest krytykować lewicowych postępowców, którzy chcą, aby rząd kontrolował opiekę zdrowotną (wybaczenie, Kanadyjczycy) lub prawicowych neokonserwatystów, pragnących, by rząd kontrolował świat (wybaczenie, Amerykanie). Jednak naprawdę ciekawa dyskusja toczy się między minarchistami i anarchokapitalistami. Jeśli chcielibyśmy przyporządkować tym ideom ich propagatorów, w szranki stanąć mogliby Ayn Rand i Murray Rothbard. Co prawda oboje byli zagorzałymi zwolennikami wolnego rynku, jednak podczas gdy Rothbard uważał, że wolny rynek mógłby zaopatrzyć nas nawet w prawo, policję i armię, Rand wyznawała koncepcję państwa jako „stróża nocnego”. Twierdziła, że z definicji, system praw własności i ich egzekwowania nie może być przedmiotem transakcji rynkowych.

Klasykiem jest dla nas [otwarty list Roy'a Childsa do Ayn Rand](#), w którym używając jej własnych zasad, Childs stara się przedstawić argumenty za „wolnorynkową anarchią”. W niniejszym wpisie spróbuję zrobić coś podobnego z ostatnio popularnym w sieci [felietonem Harry'ego Binswagera](#) opublikowanym w jednym z numerów magazynu *Forbes* w roku 2014. Autor — zdeklarowany obiektywista — wykorzystuje dzieło Rand, by (według niego) całkowicie obalić możliwość istnienia prawa i armii na zasadach wolnorynkowych. Zamierzam wykazać, że argumentacja Binswagera rozpada się przy nawet niezbyt drobiazgowej analizie.

Binswanger rozpoczyna swój wywód oskarżaniem wolnorynkowych anarchistów o popełnianie prostego błędu, godnego zwolenników Marksa:

Podobnie jak zwolennicy Marksa, bajdurzący o „wyzysku” i „niewolnictwie ekonomicznym”, [libertariańscy] anarchiści ignorują kluczową, fundamentalną różnicę między wymianą a siłą. Zwolennicy Marksa twierdzą, że działania kapitalistyczne wykorzystują siłę. „Anarchokapaliści” uważają, że działania siłowe mogą być przedmiotem wymiany rynkowej. Chociaż robią to w nieco inny sposób, zarówno jedni, jak i drudzy ignorują bądź

wymijają fakt, iż produkcja i wymiana dobrami stanowi przeciwieństwo siły fizycznej.

Produkcja jest tworzeniem wartości, a transakcja jest dobrowolną wymianą wartości za wartość dla obopólnego zysku. Siła natomiast jest destrukcją lub jej zagrożeniem.

Kontrolowanie użycia siły nie jest przedmiotem transakcji rynkowych. Siła nawet nie wlicza się do ekonomii jako dziedziny nauki. Ekonomia skupia się na produkcji i wymianie, a nie na destrukcji i konfiskacie.

Zatrzymajmy się na moment przy tym fragmencie. Choć wywód Binswagera na pierwszy rzut oka wydaje się rozsądny — zwłaszcza dla tych, którzy już wcześniej się z nim zgadzali — w rzeczywistości jest bezsensowny. Mógłbym użyć tego samego argumentu, aby „dowieść”, że potrzebujemy państwowego monopolu na świadczenie takich usług, jak polowanie, burzenie budynków, zarządzanie antybiotykami (sama nazwa oznacza „przeciw życiu”, co od razu powinno zaalarmować randystów) czy boks. Wszystkie te dziedziny bowiem nierozłącznie związane są z użyciem siły lub destrukcją.

Dlatego w powyższych kontekstach błąd popełniany przez Binswagera jest oczywisty. Jasne że możemy mieć wolny rynek — na przykład — burzenia budynków, chociaż ten proces wymaga destrukcji obiektów materialnych. Możemy też oczywiście mieć wolny rynek niszczenia niechcianych bakterii (w kuchni lub w ludzkim ciele), chociaż wymaga to zabijania żywych organizmów.

Bez wątpienia Binsanger oraz jego zwolennicy przewróciliby oczami, słysząc moje analogie, twierdząc, że nie rozumiem, o co im chodzi. Mówiliby, że nie moglibyśmy mieć „wolnego rynku” burzenia budynków, jeśli tak, oznacza to, że ludzie mogliby sobie wysadzić każdy stary budynek, na jaki mają ochotę! Tak samo nie moglibyśmy mieć „wolnego rynku” niszczenia bakterii, jeśli wcześniej nie dostalibyśmy zgody osoby, której chcemy wszczepić antybiotyki.

Jednak dokładnie tego chcą rothbardyści, kiedy mówią o „policji na wolnym rynku” czy „wolnorynkowej obronie narodowej”. Rothbard nie sugerował, że prywatne agencje ochrony oferowałyby łapówki zagranicznym agresorom, by ich zniechęcić do walki. Nie. Twierdził on, że gdyby organizacja ochrony chciała wykorzystać stal, benzynę i godziny pracy, aby zbudować kilka czołgów, które odstraszyłyby czołgi agresorów, musiałaby ona najpierw uzyskać pozwolenie wszystkich ludzi, żyjących w danym regionie, by w ten sposób wykorzystać owe surowce.

Mam nadzieję, że mój wywód udowodnił, iż w samym użyciu siły lub dokonywaniu destrukcji nie ma nic, co mogłoby wykluczyć te usługi z „wolnego

rynku”. Prawdziwym problemem jest to, że Binswanger nie rozumie, w jaki sposób przyznawane i egzekwowane byłyby tytuły własności w świecie bez monopolistycznej agencji. Innymi słowy, autor uważa, że potrzebujemy monolitycznego rządu, aby móc spójnie mówić o właścicielu budynku, dającym zgodę na zburzenie go lub właścicielach stali, pozwalających na jej użycie do zbudowania czołgów.

Binswanger ujmuje to następującymi słowami:

Może istnieć tylko jedno prawo najwyższe na danym terenie i tylko jeden egzekwujący je rząd (rządy stanowe i lokalne są podporządkowane rządowi federalnemu).

Czy konflikty pomiędzy „konkurującymi ze sobą rządami” mogłyby być rozwiązywane przy pomocy traktatów? Traktatów? Egzekwowanych przez kogo? Kiedyś zapytałem Ayn Rand o możliwość ustalania takich traktatów przez „konkurujące rządy”. Spojrzała na mnie ponuro i powiedziała: „Takich jak ONZ?”.

Sprawiedliwy rząd funkcjonuje zgodnie z obiektywnymi, filozoficznie uzasadnionymi procedurami, tak jak ustalone jest to w całej legalistycznej strukturze — od konstytucji po najbardziej szczegółowe zasady i rozporządzenia.

W powyższej argumentacji Binswangera widzimy dość niepokojącą implikację: jeśli naprawdę potrzebujemy jednej agencji z monopolem na ustalanie „prawa najwyższego na danym terenie”, a koncepcja sąsiadujących grup pokojowo ze sobą współpracujących wydaje się śmieszna, to nie wystarczy zatrzymać się na obecnie istniejących geograficznych granicach między państwami. W końcu będziemy potrzebowali rządu światowego, stanowiącego najwyższe prawo dla całej planety.

Jednak ważniejszym problemem jest założenie Binswangera, że aby mieć jednolity kodeks prawny, musimy mieć jedną agencję, która by go ustalała i egzekwowała. Po pierwsze, możemy zadać pytanie: czy rząd federalny Stanów Zjednoczonych (bądź Kanady) rzeczywiście zabezpiecza „najwyższe prawo na danym terenie”? Sam Binswanger przyznaje w innym fragmencie artykułu, że rząd USA nie przestrzega konstytucji, jednak wydaje się nieporuszony faktem, iż ten proponowany przez niego mechanizm zawiódł na całej linii wszędzie, gdzie go wypróbowano.

Druga sprawa jest jeszcze bardziej zastanawiająca: istnieje kilka dziedzin naukowych, którym agencja z monopolem na ustalanie reguł bez wątpienia wyrządziłaby szkodę. Weźmy na przykład matematykę. Jest to ogół obiektywnych prawd, udowodnionych dzięki rozumowi ludzkiemu. Jeśli chcemy, aby

matematycy wszystkich krajów podpisali się pod „jednym najwyższym zestawem praw matematycznych”, to czy potrzebujemy światowego rządu, który będzie mówił wszystkim, co jest w matematyce dopuszczalne, a co nie?

Oczywiście, że nie. Takie działanie byłoby wręcz jednym z powodów, które *powstrzymałyby* ludzi od stworzenia spójnego i konsekwentnego systemu matematyki. Podobnie moglibyśmy mówić o naukach ścisłych czy języku. Oczywiście istnieją eksperci i „autorytety” w tych dziedzinach, ale ich „rozstrzygające” publikacje tylko *porządkują* to, co członkowie danego środowiska już wiedzą. Słownik języka angielskiego wydawnictwa Oxford nie może zmienić znaczenia poszczególnych słów.

Byłoby całkowicie zrozumiałe gdyby koncepcję konkurujących ze sobą procesów prawnych odrzucali teoretycy prawa, uważający, że system prawny jest sprawą arbitralną, której funkcją jest działanie na korzyść grupy interesu, będącej akurat u władzy. Jednak obiektywiści uważają inaczej. Powinni oni wiedzieć lepiej niż większość ludzi, że proces prawny o charakterze otwartym promowałby obiektywizm i dokładność w wydawaniu wyroków. Różni sędziowie obalaliby niesłuszne wyroki i po jakimś czasie prawo precedensowe dałoby początek „rządom prawa”, których rząd nam nie zapewnia.

Te sprawy są jednak zbyt ważne i skomplikowane, by uporać się z nimi w jednym wpisie na blogu. Zainteresowanych czytelników odsyłam do mojego wykładu zatytułowanego [„The Market for Security”](#), eseju [„O szansach prawa prywatnego”](#) oraz krótkiej rozprawy na temat [prawa prywatnego i prywatnej obrony](#). Poza tym, proponuję przeczytanie [mojej recenzji](#) książki Lindy i Morrisa Tannehillów *The Market for Liberty* — obiektywistycznego traktatu o prawie i obronie wojskowej zapewnianej przez wolny rynek.